№ 49.

Warszawa, dnia 5 Grudnia. 1863 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy** adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie. ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

Od Redakcji.

Z końcem Grudnia r. b., kończy się rok czwarty wydawnictwa *Tygodnika Mód.* Starając się ciągle o ulepszanie pisma, tak w części jego specjalnéj jak literackiéj, czteroletnią naszą pracę stawiamy jako rękojmię przyszłych naszych usiłowań. Do każdego numeru, jak dotąd tak i nadal dołączane będą ryciny paryzkie wzory haftu lub tablice z krojami, tak niezbędnemi szczególniéj na wsiach pozbawionych zwykle pomocy uzdolnionych damskich krawców. W części téj zawsze zwracać będziemy szczególną baczność na praktyczność podawanych wzorów, tak aby każdy z nich mógł być zużytkowany; a jakkolwiek w opisach tyczących się strojów damskich, nie pominiemy nic, w co zaopatrywać się będą sklepy i magazyny warszawskie, jednak dążnością naszą jedynie będzie rozwijać zamiłowanie oszczędności i skromności w ubiorze, a nie zbytku i przesadzonéj wykwintności, któremi nie wolno grzeszyć nikomu. Nowości zagraniczne, brane z różnych obcych pism, z tą samą co i dotąd starannością podawane będą w Tygodniku, nie pomijając opisu przedmiotów sklepowych, a w gospodarstwie domowém pożytecznych. Na żądanie Prenumeratorów, będą przesyłane próbki wszelkich materji, formy ubrań przedstawianych na rycinach, za opłatą stosownie do jéj rodzaju od złp. 1 do 5, i załatwiane sprawunki jak to dotąd miało miejsce.

W części literackiéj, do zwyczajnego numeru arkuszowego, prawie zawsze dołączać będziemy dodatek pół arkuszowy z powieścią, jak to dotąd uskuteczniališmy. W samym zaś numerze mieścić się będą, obrazy historyczne ważniejszych epok kraju, tak serdecznie przyjmowane przez nasze Czytelniczki, korrespondencja z Paryża, pogadanki tygodniowe, utwory poetyczne, kronika literacka i artystyczna i inne bieżące artykuły. Po ukończeniu powieści Jan Halifax spolszczonéj z angielskiego piękném piórem pani Seweryny Pruszakowéj, rozpoczniemy powieść zasłużonego pisarza J. I. Kraszewskiego, po któréj nastąpi nowa powieść ulubionéj autorki Mrowina i Trocka, pani Pauliny Wilkońskiéj.

Cena prenumeracyjna pozostaje ta sama, a mianowicie: — *w Warszawie* kwartalnie złp. 10 (rs. 1 kop. 50); półrocznie złp. 20 (rs. 3); rocznie złp. 40 (rs. 6). *Na Prowincji,* rocznie złp. 50 (rs. 7 kop. 50); półrocznie złp. 25 (rs. 3 kop. 75). — *W Cesarstwie i Królestwie*, z dopłatą kopert pocztowych, rocznie złp. 63 gr. 10 (rs. 9 kop. 50); półrocznie złp. 31 gr. 20 (rs. 4 kop. 75).

Ponieważ rachunki z końcem roku zamknięte być muszą, upraszamy przeto wszystkich, od których z różnych tytułów i z naddatków na sprawunki i z zastąpienia opłaty prenumeracyjnéj, przypadają należytości do zwrotu dla Redakcji, aby raczyli takowe odesłać, adresując jak zwykle: do J. K. Gregorowicza ulica Żabia N. 956 w Warszawie.

ELEKCJA

JANA SOBIESKIEGO.

Dalszy ciąg.

Koniec zimy r. 1674 upływał na sejmikach po województwach, wybieraniu posłów na sejm elekcyjny i na niesnaskach między możnemi a szlachtą, pomiędzy województwami, magnatami, i nareszcie pomiędzy Litwą a Polską. Przy trupie królewskim pozostała wdowa, używała także wszelkich sprężyn, ażeby berło oddać w przyjaźne dla siebie ręce, i jeżeli można, sama przejść wraz z berłem i koroną do nowego jéj posiadacza. Europa zaś z chciwością czuwała nad obrotem sprawy elekcyjnéj, a wysełając okazałe poselstwa ze wszystkich krańców chrześajańskiego świata, i tajemnych emisarjuszy dla targu i frymarki o tron polski, nadawała osobliwy obraz całéj Rzeczypospolitéj. Sobieski zaś przemieszkiwał przez ten czas w Żółkwi, ciesząc się powrotem do zdrowia ukochanéj małżonki, i samą bliskością swéj osoby, utrzymując na wodzy Turków i Tatarów.

Ale zabiegi o tron licznych kandydatów i tam go znaleźć potrafiły. Wszyscy bowiem pragnęli przeciągnąć na swą stronę zwycięzcę chocimskiego, a szczególniéj szło im o względy ukochanéj Marysieńki Sobieskiego, przy któréj stopkach ten lew na polu bitwy przemieniał się w potulnego baranka. Najwięcéj jednak kręcił się dwór wiedeński, nie szczędząc przymileń i grzeczności, aby tylko pociągnąć ją ku swoim widokom, to jest do oddania rządu w ręce królowéj wdowy. Tymczasem sejmiki odbywały się burzliwe, wszystkie stronnictwa chciały je mieć powolnemi dla siebie i każde pragnęło wyłączyć swych przeciwników. Litwa pod przewództwem Paca, głównego wroga Sobieskiego, stanowczo żądała wyłączenia Piasta z elekcji, grożąc zerwaniem unji z koroną. Sejmiki zaś polskie rozdrabniały swoje zdania pomiędzy mnóstwem kandydatów.

Posłowie zagraniczni zjechawszy z wielką okazałością, wybadywali stronnictwa, dawali wiele, obiecywali jeszcze więcéj, a każdemu z przedniejszych panów doręczali listy swoich władców, z przymileniami i różnemi przyrzeczeniami. W miarę zaś jak się czas zbliżał zakreślony, wyludniały się województwa, a pozostawali przy ogniskach domowych tylko zakonnicy i lud wiejski i miejski. Wszyscy zaś inni, senatorowie, posłowie, dygnitarze, cały stan rycerski czyli ogół szlachty, przez nałóg a w części w widokach zysku, spieszyli do Warszawy z tłumami dworzan, służby wszelkiego stopnia, przepełniając na trzy mile w około Warszawy wszystkie gościńce nieprzeliczoną massą ludu. Gdy na polach Woli według starego zwyczaju, wzniesiono szopę dla Prymasa i senatu, tłum szlachty otoczył ją gwarnie i zbrojno, rozbijając tysiące namiotów, jakby świeżo zpod ziemi wyrosłe. Tu to magnaci popisywali się ze swym nowym przepychem i bogactwami, tu szli na wyścigi w swéj okazałości, tak że było na co patrzéć i podziwiać zwłaszcza, że ostatnie zwycięztwo nad Turkami niemało się do rozwinięcia tego przepychu przyczyniły. Szczególną jednak zwracały na siebie uwagę namioty namiestnika Mahometa IV zdobyte pod Chocimem, a teraz przyozdobione herbami Sobieskich i mieszczące w sobie przyjaciół i przychylnych hetmanowi wielkiemu. Niechętni w téj wystawie, dopatrywali zabiegi Sobieskiego o uzyskanie korony, i przypisywali mu niecne zamiary zyskiwania sobie stronników, ale gdy o ten zaszczyt tylu dobijało się kandydatów, gdy naród przez usta sejmu Piasta nie wyłączył od współubiegania się, cóż w tém mogło być tak sprosnego, że tylorazowy obrońca kraju, przypomnieniem swych zasług, pragnął zwrócić na siebie uwagę ziomków? Wreszcie rozwijając starania, szedł w tym względzie za instynktownem poczuciem całego narodu, który od pierwszéj chwili elekcji nie przestał domagać się Piasta na tron po Jagiellonach.

Tymczasem ścieranie się opinji i konszachty stronnictw nie ustawały, ale w miarę zbliżania się chwili elekcji, spostrzegano, że koleją wszyscy kandydaci upadali, że nawet nadzieje Jerzego królewicza duńskiego rozwiały się razem z trzema miljonami przez matkę jego na kupienie tronu przeznaczonemi, i że głównie utrzymała się partja dworu austrjackiego działająca na rzecz Karola księcia Lotaryngji, i partja francuzkiego dworu, protegująca czternastoletniego syna, księcia Neuburgskiego jedynie tylko przez niechęć dla Austrji.

Nadszedł wreszcie dzień 20 Kwietnia tak długo przez wszystkich oczekiwany. Rano senatorowie, posłowie i prymas w katedrze S. Jana zanieśli modły korząc się przed Panem Zastępów, o udzielenie światła niebios przy obecnym wyborze. Potém udali się na zamek do owdowiałéj królowéj, dla wynurzenia żalu, ze straty zgasłego króla, a następnie konno udali się na pola Woli, w towarzystwie 80 blisko zbrojnéj szlachty. Mieszkańcy War-

szawy ze zdumieniem przyglądali się tak licznemu orszakowi, żałując zapewne, że równie gwarne nie bywały obozy, jakiemi broniono granic Rzeczypospolitéj. Na marszałka sejmu obrano Sapiehę, wielkiego podskarbiego litewskiego, osobistego przyjaciela Sobieskiego; a następnych kilka dni poświęcono wykonaniu przysięgi i ułożeniu dla przyszłego króla warunków zwanych *Pacta conventa*. Kiedy przygotowawcze czynności dopełnione zostały, wówczas główni kandydaci do tronu, wystąpili ze szczodremi swemi obietnicami, których ma się rozumiéć, że i w połowie nie myśleli dotrzymać. Pierwszy więc Karol, książę Lotaryngji, przyrzekał: wypłacić wojsku żołd za dziewięć miesięcy; zaciągnąć własnym kosztem pięć tysięcy żołnierzy na pierwszą wyprawę przeciwko Tnrkom; pięćset szlachty wziąć do przybocznéj straży; wznieść dwie fortece na granicy od strony Rossji i Turcji; otworzyć w Lotaryngji szkołę wojskową dla młodzieży polskiej stanu szlacheckiego, i na potrzeby Rzeczypospolitéj obracać dochody księztwa Lotaryngji, skoro je odziedziczy po swym stryju i odzyska od króla francuzkiego.

Czternastoletni Filip syn księcia Neuburgskiego, w obietnicach był jeszcze hojniejszym, a znane bogactwa jego ojca dawały pewniejszą rękojmię wykonania. Oprócz bowiem dwóch fortec, szkoły w Niemczech, gwardji, obiecywał całoroczny żołd wojsku i utrzymywanie własnym kosztem 26,000 żołnierzy przez cały czas wojny przeciw niewiernym.

Ponieważ wiedziano, że całe bogactwo księcia Karola, składało się jedynie z klejnotów znajdujących się w ręku stryja, na pewność więc porobienia tak znacznych przyobiecanych wydatków, stronnicy jego głosili, że skarby Austrji przyjdą mu w pomoc i że szczodrość jéj pod tym względem nie będzie miała granic. Jakkolwiek szczerość obietnic dworu tego już nieraz była doswiadczaną, jak jest ułudną i dawaną tylko na potrzebę chwili, jednak znalazło się dosyć takich, co jéj uwierzyli i stanęli po stronie kandydata austrjackiego, opuszczając prawie zupełnie popieranego przez dwór francuzki.

Pacowie więc brali górę, ale gdy jeden z nich uniesiony tryumfem swoich zabiegów i pragnąc przytłumić najmniejszy głos mogący się wznieść za Sobieskim, wniósł żądanie, aby tego, któryby podał rodaka, równego sobie, na króla, uznano infamisem, Polacy obrazili się i powstała ogromna burza w sejmie, zaledwie pohamowana roztropnością marszalka Sapiehy. Niesnaski jednak z łona sejmu przeniosły się na pole elekcyjne, i musiały być niemałéj wagi, skoro wyrodziły utworzenie nowéj partji, domagającéj się usunięcia wszystkich obcych konkurentów, a oddania współziomkowi korony polskiéj.

Tymczasem przybywa i sam Sobieski, nie widziany jeszcze od czasu zwycięztwa pod Chocimem. Na wieść o jego zbliżaniu się, zaczęły się wznosić tryumfalne bramy, kazalnice zabrzmiały jego pochwałami, senatorowie i stan rycerski wyszli na spotkanie bohatera, a lud rojąc się tysiącami witał okrzykami radości i uwielbienia. Sobieski chociaż w połowie piątego krzyżyka, i z nabraną już nieco tuszą, był jednak bardzo przystojnym mężczyzną. Obok powagi prawdziwie mezkiéj, malował się na twarzy zapał wojownika; grzeczność, uprzejmość pana wysokiego rodu, łączyły się w całéj jego postawie z mezką dumą hohatera. Na szerokiem czole jaśniał genjusz, który stoczył tyle bitew i tyle wygrał wojen; w spojrzeniu malował się rozum i odwaga, a pobłysk ócz zdradzał duszę kochającą to wszystko, co jest najszlachetniejszém na ziemi, naukę, sławę i ojczyznę.

Orszak jakim się otoczył nie był zbyt licznym. składał się bowiem tylko z kilku kompanji i pułku dragonji, ale w nim znajdowały się chorągwie zdobyte pod Chocimem na bisurmanach, w celu złożenia ich w ofierze przyszłemu królowi i hufiec samych janczarów zamieniony z jeńców w żołnierzy i obrońców, świadczący najlepiéj o odniesionych zwycięztwach. To téż gdy zdaleka jeszcze, ozwała się dzika i hałaśliwa ich muzyka po raz pierwszy słyszana w Europie, zaczęli się cisnąć wszyscy dla przypatrzenia się tak nowemu widowisku, i złożenia czci bohaterowi, co był tego sprawcą.

Dnia 3 Maja, Sobieski zabrał miejsce śród obradujących, a gdy ozwały się działa, senatorowie wyszli z szopy dla utworzenia koła, droga od Warszawy napełniła się tłumem szlachty, dążąc na miejsce, gdzie Europa w osobie posłów swoich miała zasiąść w pośród ludu, który się zgromadzał pod gołém niebem, dla słuchania ambasadorów i wyboru swoich królów. Kiedy wrzawa uspokojoną została, najznakomitsi senatorowie, zaczęli wprowadzać kolejno posłów, mocarstw zagranicznych.

Nuncjusz stolicy apostolskiéj był pierwszym, i ten oświadczył życzenie, aby Polska wybrała króla katolika, zdolnego i śmiałego do prowadzenia wojny świętéj, przeciw odwiecznym wrogom chrześcijaństwa. Mówiąc to miał na myśli księcia Lotaryngji, kandydata austrjackiego.

Nazajutrz miał posłuchanie ambassador Austrji, hrabia Schafgotsch. Ten przede wszystkiém po-

lecał względom Rzeczypospolitéj owdowiałą arcyksiężniczkę, a na króla otwarcie przedstawił księcia Lotaryngji, Potém wystąpili posłowie, hiszpański, różnych książąt włoskich, angielski, holenderski, wszyscy jednomyślnie przez niechęć ku Francji popierali kandydata austrjackiego. Ambasadorem króla Francji Ludwika XIV był biskup marsylski Furbin-Jouson, człowiek niezmiernie zręczny i pełen dowcipu i wymowy. Przybywszy do Polski, wznowił stosunki wersalskiego dworu z większą częścią magnatów, prędko zyskał popularność przepychem i hojnością, a otoczony gronem przedniejszych panów i świetnym dworem Sobieskiego, wiodąc z sobą osiemdziesiąt karet, tłumy paziów giermków, poprzedzony przez muzykę wstąpił wkoło i wymową, a szczególniéj uprzejmością życzliwie wszystkich dla siebie pozyskał. Powodzenie to przeszło oczekiwania jego przyjaciół i nieprzyjaciół, a Eleonora widząc, że kandydatura Filipa księcia Neuburgskiego niezmiernie się wzmocniła, strwożona oddała w zastaw resztę posiadanych klejnotów, aby zatrzymać na stronie księcia Lotaryngji, chwiejących się jego zwolenników. Złoto więc ze wszystkich stron szerokim na wyborców płynęło strumieniem, a jeżeli branie wziątków podłą było rzeczą, szlachetnemi nie można było nazwać tych co je dawali. Wreszcie z wyborców tylko zręczniejsi, zabiegliwsi, a szczególniéj imieniem, godnością i koligacjami rej wodzący pomiędzy szlachtą dopuszczali się tak niecnéj frymarki, ogół zaś szlachecki trzymający się wiernie cnót starożytnych, jeżeli grzeszył dając się pociągać ukłonem, poczęstunkiem lub namową, to dopuszczał się tego mimo wiedzy prawie, ale nie przez przekupstwo, którc nawet materjalnie było niepodobném. Książęta zaś szturmujący do korony polskiéj, wszyscy bez żadnego wyjątku przekupstwem słali sobie drogę do tronu. Gdzie zaś wiele dają, cóż dziwnego, że w tysiącach narodu, znajdą się dziesiątki, chętne do brania i frymarki? Brano więc pełnemi garściami, ale w górze, gdzie i tak chleba miano podostatkiem, ogół szlachty pociągano czapką, papką i szkapką, który mimo tego o ile mógł tylko, szedł za prawdziwie patryjotycznem uczuciem, dobro kraju jedynie mającem na względzie. Gdyby nie ten instynkt narodowego ducha, przy tak niecnych zabiegach, tron Poiski byłby statecznie utrzymał się w cudzoziemskich rękach: wybór Walezjusza był tylko próbką obcych rządów, późniejsi wybrańcy narodu, albo pochodzili z krwi dawnych królów polskich jak Batory, Zygmunt III i synowie jego Władysław i Jan Kazimierz, albo też rodakami, jak Korybut, Sobieski i Leszczyński. Późniéj dopiero, kiedy zepsucie w górze bardżo się rozpostarło, władzę objęli Sasowie, ale i tak pierwszy z nich długie przechodził korowody z Leszczyńskim zanim utrwalił uchwyconą przez siebie koronę.

Ogół więc narodu , pomimo pobocznych zabiegów, trzymał się wiernie instynktu narodowego ducha i ciągle walczył z górą, stateczném odpychaniem cudzoziemskich kandydatów. Czuł bowiem, że nie w nich spoczywa zbawienie kraju, szkarada zabiegów elekcyjnych spadać na niego nie może.

Chociaż więc wymowa posła francuzkiego za Filipem czternastoletnim synem księcia Neuburgskiego, na głównych przywódzcach partji Francji i Austrji silne zrobiła wrażenie i zdawała się zwycięztwo przechylać na stronę Filipa, jednak nie wywarło to takiego wpływu na całe sejmujące zgromadzenie, zajęte obecnością bohatera z pod Chocima, który sam jeden w obronie kraju stał za tysiące. To też wszystkich oczy były zwrócone ku niemu, każde szlachetne serce żywiło tajemne uczucie, ozdobienia głowy jego koroną któréj szafunkiem własnego życia, poświęceniem mienia, był godniejszym, niż wszyscy inni. Ale wśród tego gwaru i ścierania się niecnych namiętności, Sobieski statecznie zachowywał milczenie, wreszcie oświadczył że pragnie mówić, a w téj chwili głuche nastąpiło milczenie, i cała uwaga obradujących skupiła się ku temu, co tyle razy mieczem swym kraj zbawił i wyrwał z ostatecznéj toni. Gdy w mowie swéj doszedł do oeenienia zalet dwóch głównych kandydatów, rzekł:

— „Rzeczypospolitéj potrzeba zwierzchnika, posiadającego doświadczenie i odwagę, któryby wielkością imienia mógł zaradzić słabości publicznéj i osłonić od wschodu i zachodu, od północy i południa granice wszędzie zagrożone. Książe Filip jest dzieckiem, które się jeszcze nie pokazywało na polu bitew, pomijając więc wszelkie inne zarzuty, już z tego powodu jest nieodpowiednim. Książe Lotaryngji waleczny żołnierz, z czasem może być znakomitym wodzem, ale nim jeszcze nie jest, a Polska nie znajduje się w taktém położeniu, iżby mogła wychowywać swoich królów lub dawać im czas do wzrostu. Trzeci tylko kandydat może pogodzić wszystkie widoki i wszystkie stronnictwa, a tym jest książę Kondeusz synowiec króla Francuzkiego Ludwika XIX, zarówno znany z rozumu jak i ze swego męztwa, jako wódz i żołnierz.

Polecenie to nader trafne, tak pod względem osobistości Kondeusza, jak i stronników polity-

cznych, snalazło wielu stronników, i byłby wybór bez wątpieuia padł na niego, gdyby nie zawiść Paców, lękających się wyboru kandydata z ramienia Sobieskiego.

(d. c. n).

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Po kilku korrespondencjach treści może zbyt poważnéj, wprawdzie zapewne nie dla usposobienia łaskawych moich Czytelniczek, ale dla celu rozrywki, w jakim niniejsze pismo zwykle biorą do ręki, poczuwam się dziś do obowiązku zaspokojenia przypuszczalnéj ich ciekawości niektóremi nowinkami z bruku Paryzkiego. Przede wszystkiém notuję, że cały wytworny świat stolicy. równie jak cały świat przemysłowy, handlowy i inny z każdym dniem w silniejszą popada gorączkę z powodu niewiadomego jeszcze rozwiązania jednego wielkiego pytania, które przytém i resztę Europy, a nawet Amerykę, bez wątpienia niepoślednio zajmują. Pytanie to dla Paryża streszcza się w tych wyrazach: *Czy się zjadą? czy nie zjadą?* a po téj przysłowiowéj tu już teraz formułce, każdy łatwo odgadnie, że mowa nie o czém inném, jak o kongresie monarchów, którego wszyscy czystéj krwi Paryżanie pragną niemniéj gorąco, jak wszyscy chciwi wrażeń bawiący tu cudzoziemcy. W obec téj jednéj kwestji, ucichają powoli wszystkie inne, tak niezmiernéj np. wagi jak te: Czy Meyerbeer wystawi nareszcie téj zimy swoją *Afrykankę* na scenie wielkiéj opery? Czy Jules Janin, po śmierci Laprade'a dochrapie się przecie krzesła w akademji francuzkiéj? Czy doktór Véron ciągle jeszcze prowadzi swoją kurację ostrygową, po 250 sztuk na dobę? Czy ceny mieszkań w wielkim hotelu Luwru istotnie o jedną trzecią część są zniżone? Jaki był powód pojedynku pomiędzy mężem pani Patti, a panem Lucchiani, pierwszym barytonem? Czy Paryż nie będzie mniéj szczęśliwym od Londynu, który za opłatą szylinga (2 złp.) od osoby, ogląda teraz szczątki *Olbrzyma*, wielkiego balonu Nadarda? Czy lord Palmerston długo jeszcze wyrazistemi processami z szesnastoletnią młodzieżą zadawać będzie kłam swoim ośmiu krzyżykom?... Wszystkie te i tym podobne pytania ustąpiły obecnie pierwszeństwa albo raczéj zupełnie zeszły z pola, przed całym owym szeregiem następstw i wniosków, jakie przemyślny duch Paryżan wyciąga z téj jednéj kwestyjki: *Czy się zjadą?..* Bo jeżeli się zjadą, cóż to będzie za Paryż téj zimy! co za karnawał! Sławny ów parter królów, przed którym ongi grał Talma w Weimarze, tak się mieć będzie do parteru teatru francuzkiego, któremu na nieszczęście dziś brak tylko Talmy, jak się ma Weimar do Paryża.

Ale żart żartem, dla handlu paryzkiego skutek kongresu nie jest bynajmniéj rzeczą małéj wagi. Skrzętni statystycy już obiczyli na prędce, ilu tyle dworów potrzebować będzie co tydzień nowych fraków, krawatów i par pantalonów, ile czarnego jedwabiu użyją krawcy na ich uszycie, ile trufli wypadnie przywieść więcéj z Perygordu, albo homarów z Marsylji. A warsztaty Lyońskie, a fabryki w Elbenf, a tak zwane *artykuły paryzkie*, (articles de Paris), czyli mówiąc po naszemu: wyroby galanteryjne, na jakiż powiększony liczyć mogą odbyt! Niechajby tylko każdy w spodziewanych orszakach monarszych dyplomata kupił po 7 szalów *Ternaux* dla siedmiu przyjaciółek w siedmiu wielkich stolicach Europy, niechby kady adjutant nabył po trzy tylko pierścionki lub bransoletki z brylancikiem i rubinami. Chryste Panie! jakżeby te wszystkie przedmioty najpierwszéj potrzeby podskoczyły natychmiast w cenie, że poczciwy obywatel z pod Hrubieszowa jużby się ich za 100 korcy pszenicy nie dokupił! Ale francuzcy fabrykanci, hurtownicy, detaliści przedsiębiorcy i w ogóle wszelkiego rodzaju proeederzyści, nawet literaci, bo autorowie broszur z miną półurzędową, poeci dramatów okolicznościowych i reżyssery cyrkowi, muzycy soliści i orkiestrowi, że już przemilczę o pięknościach bulwarów. cóż to za świetny oczekuje ich dochód! Albo czyż za nic liczyć wypadnie powiększonéj w dziesięcioro prenumeraty tutejszych dzienników, które sobie we wszystkich pięciu częściach kuli ziemskiéj wyrywać będą z rąk wszelacy świadomi języka francuzkiego czytelnicy! Życzę i Tobie, kochany redaktorze, w podobnymże stosunku wzrostu abonentów począwszy od roku przzszłego i z tém (zakończenie kongresowe) proszę Boga, żeby Cię miał w Swojéj świętéj i godnéj opiece.

*

Paryż, d. 27 Listopada.

Przyjście Meksyku do niepodległości.

(Dalszy ciąg).

Gdy się tak rozszerzała w Meksyku idea poprawy i zmiany narzuconego porządku, w r. 1808 doszła z Europy wiadomość, że Burbonów wypędził z Hiszpanji Napoleon i sam został jéj władcą.

Wszystkie klassy społeczeństwa hiszpańskiego w Meksyku, chociaż panujący w ówczas w Hiszpanji Ferdynand VII nie umiał sobie zaskarbić miłości ludu, oświadczyły się jednak za nim z niezmiernym zapałem. Nieszczęście bowiem zawsze wywołuje w ludzie litość i współczucie.

Chociaż w owym czasie najwyższą władzę w Meksyku sprawował wice król, rząd jednak w Madrycie lękając się, aby tenże korzystając ze swego położenia, nie pomyślał z czasem o oderwaniu się i utworzeniu niezależnego państwa, ustanowił po nad nim osobną radę zwaną *Audyencją* z prawem kontroli czynności wice króla i udzielania ostatecznéj decyzji w sprawach ważniejszych. Audyencya ta składała się tylko z rodowitych Hiszpanów, nadto w obawie, aby przez zawiązanie stosunków rodzinnych z osiedlonemi stale Hiszpanami w Meksyku, członkowie jéj nie wpłynęli na umniejszenie przewagi saméj Hiszpanji w zdobytym kraju, zabroniono im żenić się, a przekraczający ten zakaz bywał natychmiast wykreślony z Audjencji. Przytém czystéj krwi Hiszpanów, urodzonych na ojczystéj ziemi, w owym czasie znajdowało się w Meksyku tylko 60,000 i przy nich była cała władza i znaczenie polityczne; Kreolów zaś czyli Hiszpanów urodzonych w Meksyku było milion, i tym wzbroniono było posiadanie choćby najmniejszego wpływu na sprawy nowéj ich ojczyzny. Jedne tylko rady municypalne zostawione kreolom, ale te czuwały tylko nad gospodarstwem wewnętrzném miast, w zarządzie zaś kraju nie miały żadnego znaczenia.

Kiedy więc przyszła wiadomość o zwyciężeniu Burbonów przez Napoleona, i rodowici Hiszpanie wystąpili z oświadczeniem swego przywiązania dla Ferdynanda VII, rady municypalne złożone po większéj części z samych kreolów przesłały także wicekrólowi w imieniu mieszkańców, oswiadczenia tchnące najżywszém współczuciem dla więzionego przez Francuzów króla, i zarazem prośbę o pozwolenie zwołania junty meksykańskiéj, czyli zgromadzenia delegowanych wszystkich prowincji, któraby w tak ważnych okolicznościach, przyjęła na siebie kierunek spraw kraju.

Było to więc żądanie reprezentacji, oparte na podobném utworzeniu się junty w Hiszpanji, które chociaż powstały bez wiadomości i upoważnienia Ferdynanda, dzielnym oporem jaki stawiały Francuzom, wielkie mu świadczyły przysługi. Prośba ta zrobiła nadzwyczajne wrażenie w całym kraju, wicekról don Jose Hurrigaraj przyjął ją dobrze, przyrzekł wypełnienie jéj, i odesłał do Audjencji dla udzielenia opinji. Rodowici Hiszpanie na czele których stała Audjencja, uważając się za jedynych panów podbitego kraju, przytém dumni i pełni przesądów, oburzyli się niezmiernie na zamiar utworzenia junty krajowéj, któraby spowodowała porównanie z niemi kreolów i przyznanie praw politycznych klassom uważanym dotąd za podłe i bezrozumne, to jest metysom i indjanom. Postrzegłszy więc, że przy takim systemacie, w massie dwadzieścia razy od nich liczniejszéj, znaczenie ich przywłaszczone spadnie na zero, że korzyści wszelkie, w przyszłości musieliby czerpać nie w przemocy przywileju, lecz we własnych zdolnościach i zasłudze, dokazali tego, że Audjencja odrzuciła prośbę, o możność utworzenia zgromadzenia narodowego. Mimo tego wicekról obstawał przy swojém, wtedy rodowici Hiszpanie uknuli spisek, schwycili wicekróla z dwoma starszemi synami, zamknęli go w więzieniu inkwizycji, a żonę i młodsze dzieci osadzili w klasztorze.

Uwięziono przytém wielu najznakomitszych Meksykanów, jednych wygnano do wysp Filipińskich, innych osadzono w zamku S. Jana, innych wysłano do Hiszpanji, a dla wewnętrznego bezpieczeństwa, rozkazano rodowitym Hiszpanom, utworzenie junty ocalenia kraju i urządzenia zbrojnych oddziałów. Rozporządzeniem tém chciano poskromić poruszenie kreolów, lecz ten tylko osiągnięto skutek, że na zawsze rozdzielono te dwie klassy narodu, mające to samo pochodzenie, ten sam język i wiarę. Rada municypalna Meksyku, ujęła się wprawdzie za uwięzionym wicekrólem, ale Audjencja odpowiedziała, że władza rady ogranicza się na utrzymaniu bezpieczeństwa i porządku na ulicach Meksyku, wszelkie zaś inne żądania nie należą do jéj attrybucji. Od téj chwili utworzyły się dwa wydatne stronnictwa: Hiszpanów i Kreolów, a na prowincji zaczęto się sposobić do wojny przeciw Hiszpanom. Pierwsze do niéj hasło dał proboszcz w miasteczku Dolores zamieszkałem przez samych prawie Indjan, nazwiskiem Miquel Hidalgo Costylla. Naganiony raz przez inkwizycją świętą, za czytanie dzieł sprowadzonych z Europy, zajął się zaprowadzeniem hodowli jedwabników z założeniem winnicy. Że jednak systemat wyzyskiwania Meksyku na korzyść Hiszpanji wymagał, żeby Meksykanie pili samo tylko wino z Hiszpanji przywożone, rozkazano winnice zajmujące znaczne przestrzenie na wzgórzach i wokoło miasteczka zniszczyć, i barbarzyński ten rozkaz jak najściśléj wykonano. Takie postąpienie nieludzkie, przywiodło do ostateczności Hidalga, a choć miał lat 63 wieku i niektórych kreolów z któremi należał do zmowy uwięziono, nie zrażając się niczém, zatknął chorągiew niepodległości,

w Sierpniu 1810 roku a we dwa lata po uwięzieniu wicekróla.

Przy pomocy miejscowéj ludności, zajął dwa miasta, zabrał w nich wszelką własność Hiszpanów i rozdał ją między swoich. W kilka dni potém wszedł z liczném wojskiem do bogatego miasta Guanazuato liczącém 75,000 mieszkańców, i tam zdobywcy wymordowali wszystkich rodowitych Hiszpanów a między niemi i wielu kreolów. Taka sama rzeź powtórzyła się i w innych miastach, a Hidalgo nie tylko jéj nie sprzeciwiał się, ale nawet zachęcał. To naturalnie oburzyło kreolów i zmusiło ich do łączenia się z Hiszpanami, skutkiem czego Hidalgo przegrawszy dwie bitwy, w d. 21 Marca 1811 roku przez zdradę wpadł w moc Hiszpanów i został rozstrzelany.

Pomimo tego spokojność nie wróciła w Meksyku, osobne oddziały potworzyły się po prowincjach a najznakomitszym dowódcą był proboszcz Morelos, dawny przyjaciel Hidalgi i wojna domowa ciągnęła się aż do maja 1815 roku, to jest aż do rozbicia Morelosa przez Hiszpanów. Przez następne pięć lat do r. 1820 Hiszpanie byli w przewadze: największa część przywódców Meksykańskich, albo poległa albo wzięta w niewolą została rozstrzelaną. Kilku tylko zdołało się ukryć ze szczupłemi garstkami stronników w odległych prowincjach.

Pomiędzy Hiszpanami najwięcéj odznaczał się kreol Iturbide, oficer niezmiernie odważny, czynny niepospolitych zdolności, ale oburzającego okrucieństwa. Między wielu czynami pamiętano szczególniéj ten, że w sam Wielki Piątek, trzystu jeńców wojennych, pod pozorem, że byli wyklęci przez kościół, kazał jak najnielitościwiéj przez rrzstrzelanie wymordować.

Otoż kreol ten poznawszy, że skutkiem niezgód domowych w Hiszpanji, władza jéj w Meksyku ustać musi, zebrał w Iguala zaufanych żołnierzy i w dniu 21 Lutego 1821 roku, ogłosił niepodległość Meksyku, przez programat znany pod nazwą *planu w Inguala*. Oświadczono w nim, że monarcha nosić będzie tytuł cesarza i rządzić ma według mającéj się wydać ustawy. Koronę ofiarowano Ferdynandowi VII, w razie nieprzyjęcia, jego braciom lub wreszcie Karolowi, arcyksięciu austryjackiemu, — krajowcy zaś mieli być w prawach zrównani z Hiszpanami.

Wszyscy krajowcy przeszedłszy w ciągu lat 11 blisko przez tak ciężkie próby, przystali na ten program, a szczątki dawnych powstańców połączyły się z Iturbidem. Rodowici jednak Hiszpanie odrzucili wszelkie środki pojednania, nie mogąc oswoić się z przypuszczeniem nawet, że Meksyk choć siłą podbity ma prawo do takich samych praw i przywilejów, jak każde społeczeństwo chrześcijańskie. Tak to pycha i samolubstwo pogańskie, zaślepia ludzi na najświętsze prawdy, w prędce też za niemi przychodzi i kara.

Chociaż cały kraj przechylił się na stronę Iturbidego, rodowici jednak Hiszpanie postanowili stawić upór i skupili się w Meksyku, gdzie posiadali główną siłę wojskową. W tym czasie przybył do Meksyku nowy wice król, przysłany z Hiszpanij już przez rząd konstytucyjny, jenerał O' Donoju człowiek bardzo światły i praktyczny. Iturbide wezwał go na naradę, na któréj O'Donoju podpisał traktat na podstawie z Inguala i został członkiem tymczasowéj junty, dopóki który z Infantów hiszpańskich nie przybędzie dla objęcia rządu i korony. Był to czyn bardzo rozsądny, mimo tego gdy komisarze meksykańscy przybyli do Madrytu, bardzo ich tam źle przyjęto. Niepodległość jednak Meksyku od téj chwili dokonaną została.

Ponieważ Ferdynand VII nie chciał zamienić tronu hiszpańskiego na Meksykański i Kortezy uznali umowę za nieważną, postanowiono więc wysłać wojsko do Meksyku, gdzie jeszcze główna forteca i port Vera—Cruz zostawały w mocy Hiszpanów. Lecz z powodów niezgód domowych niepodobna było tego uczynić, że zaś nikt z członków rodziny królewskiéj nie chciał przyjąć korony Meksykańskiéj. wojsko ogłosiło Iturbidego cesarzem pod imieniem Augusta I a przymusiło kongres do potwierdzenia tego wyboru. Nowy monarcha chociaż ukoronowany, miał wiele porachunków z przeszłości i bardzo wielu nieprzyjaciół. Opierając się na siłę wojskowéj, pomiatał resztą jak nieznaczącą zgrają, a szczególniéj też lekceważył kongres. Ztąd przyszło do wzajemnéj nienawiści, generał Santa-Anna podniósł w Vera-Cruz sztandar powstania, i w roku 1823 w marcu upadło cesarstwo, a ogłoszony został rząd federacyjny na wzór Stanów zjednoczonych Ameryki północnéj. We dwa miesiące późniéj, Iturbide z rodziną swoją odpłynął do Anglji, a kongres pomimo złożenia z tronu, uznając przysługi przyniesione Meksykowi, przeznaczył mu rocznéj pensji 125,000 franków pod warunkiem, że nie powróci do kraju.

Duma jednak i zuchwałość upadłego awanturnika, były większe nad uczucie własnego bezpieczeństwa, chcąc więc jeszcze raz probować szczęścia w r. 1824 w lipcu, przybył prawie sam jeden do portu Santa Marina. Tam poznany, został ujęty przez generała Garze i następnie rozstrzelany na mocy uchwały Kongresu, która w razie powrotu wyłączało go z pod opieki prawa.

(d. c. n.)

Nowości Zagraniczne.

Z ostatniego dziennika paryzkiego wychodzącego dla krawców (*Journal des Tailleurs*), wyjmujemy niektóre uwagi i opisy dotyczące ubiorów męzkich.

Wydatną cechą wprowadzonéj obecnie przez paryzkich krawców mody jest przedłużenie stanu, oraz wyłożenie klap więcéj niż pomierne. Długość stanu nie jest jednostajna: w ubraniach negliżowych przechodzi zwyczajną miarę o 5 do 6 centymetrów, w ubraniu zaś do figury tylko 2 cent. Szerokie klapy wykładają się zwykle aż do przedostatniego guzika. Innych zmian ważniejszych nie

widziemy, bo drobniejsze modyfikacje zawisły tak od ubierającego, jak i ubieranego. Przekonywa nas o tém opis niektórych figur tego żurnalu;

Ubranie negliżowe, stanowi *żakieta* z materjału angielskiego, koloru tabaczkowego w duże czarne kraty, kołnierz niski. Przodek zapina się na 5 guzików w znacznéj od siebie odległości umieszczonych, z których ostatni znajduje się poniżéj stanu i zwykle nie zapina. Spódnica niezbyt obszerna przyszywa się do stanu znacznie niżéj bioder. Otwór kieszeniowy, rownoległy do szwu spódnicy, przykrywa patka czworograniasta. Rękawy jak zwykle szerokie u łokcia zwężają się przy mankiecie, który jest stałym. Krawat szafirowy, kołnierzyk u koszuli stojący; pantalony szerokie z tego samego co żakieta materjału, wreszcie rękawiczki popielate i kapelusz prosty z rondem równém dopełniają ubrania.

Tak zwanego *ubrania na miasto* mamy kilka rodzajów, oto niektórych z nich wydatniejsze okazy: 1) Żakieta granatowa, kołnierz jak zwykle, stan długi obszerny tak iż boki tworzą prawie linię prostą; kieszenie na boku bez klapek, lecz pikowane. rękawy szerokie w łokciu, wązkie przy mankiecie. Nie potrzebujemy dodawać, że spódnica robi się z jednéj sztuki co i stan. Całe ubranie ma brzegi pikowane. Pantalony ceglastego koloru w podłużne czarne paski.

Surdut prosty jednorzędny, czyli żakieta do figury, bo to jedno dziś znaczy, koloru ciemnooliwkowego, kołnierz wązki i niski, klapy, wchodząc głęboko w kołnierz tworzą odwróconą literę ΧΛ, klapy te wykładają się do woli nawet dosyć nisko, Stan poniżéj bioder jest umieszczony na 5 do 6 centymetrów; spódnica wązka z przodu okrągło ścięta na dole. Rękawy jak zwykle. Kamizelka bez kołnierza jednorzędna zapina się wysoko robi się zwykle z tego samego materjału, co i żakieta. Pantalony szerokie, popielatego koloru.

Inne jeszcze *ubranie na miasto*, surdut do figury jasno-granatowego koloru, kołnierz aksamitny; klapy średnio wyłożone; zapinają się na dwa rzędy *oliwek* (to jest guzików mających kształ oliwek) przyszytych w kierunku równoległym od siebie. Stan trochę wcięty przechodzi zwykłą przez naturę wskazaną miarę na 8 do 9 centymetrów. Spódnica po za kolana, w jéj połączeniu ze stanem znajdują się otwory na kieszenie. Brzegi całego ubrania obszywają się lub pikują. Mankiety stałe, reszta jak zwykle.

Do ubrania *wizytowego* na miasto używa się: Surdut czarny kołnierz wązki, zachodzący w klapy na 2 do 3 centymetrów. Klapy wykładają się aż do przedostatniego guzika. Stan przedłużony tylko na 4 centymetry; poły średniéj długości; rękawy bez mankietów. Kamizelka biała, krawat odpowiedni i kołnierzyk u koszuli jak zwykle stojący.

O ubraniu *à la française*, będącego tylko odmianą starego zapomnianego u nas, tak zwanego z niemiecka *rajtrokiem*, nie wspominamy, dodając za to, iż przy ubraniu wizytowém pantalony używają się węższe zwykle czarnego matowego koloru, a kamizelka czarna aksamitna, lub szafirowa z podłożeniem kolorowém.

Okrycia i palta są prawie te same co dawniéj, poprzestajemy na opisie jednego tylko nieco odróżniającego się *okrycia*, jest ono jasno-orzechowego koloru, krojem zwyczajnego angielskiego *twinu*. Plecy bez szwu środkowego, na dole tylko z tyłu mają rozporek. Boki nieco do figury przystają. Kieszenie na długość ręki, poziomo pikowane lub obszywane odpowiednim materiałem.

Opis ryciny.

N. 1. Suknia z popeliny popielatéj garnirowana u dołu jedwabną albo aksamitną falbanką. Przedni bryt spódnicy naszyty pliską jedwabną i aksamitką w kwadraty zmniejszającemi się do stanu. Stanik z baskiną odpowiednio ubrany. Rękawy zeszywane przez łokieć i tak obcisłe że tylko ręka wolno przejść może. Kapotka atłasowa.

N. 2. Suknia czarna w rzucik fijołkowy. Stanik gładki do paska. Rotonda czyli kardynałka i dół sukni garnirowane ruszą z gładkiéj materij w skośną drabinkę kapelusz aksamitny podpięty gronami.

N. 3. *Ubranie panienki 8-mio letniéj.* Spódniczka z *poil de chèvre* w krateczkę wszyta do paska szwajcarskiego. U dołu kokardy naszyte z wstążki lub aksamitki. Bluzka biała półbatystowa, do tego szelki z długiemi szarfami z wyrobu sukni. Kapelusz kastorowy przybrany piórem i aksamitką.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K.Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 49 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 5 Grudnia 1863 roku.

JAN HALIFAX,

POWIEŚĆ M^ss MULLOCH,

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Sewerynę Pruszakową.

(Dalszy ciąg.)

Kiedym się uczuł zdrowszy, właśnie w miesiąc po pamiętném zaburzeniu, pewien byłem że nigdy nie zachoruję, skoro Janek mnie nie opuści. Powiedziałem mu to na pół żartem.

— Dobrze, biorę cię za słowo. Tymczasem przeczytam ci dziennik, abyś wiedział, co zaszło w świecie. Ważne wypadki rozpoczęły wiek dziewiętnasty.

To mówiąc, dobył dziennik z pod stosa zapisanych papierów.

— Jakże ty pięknie piszesz, rzekłem, spoglądając na rachunki Janka.

— Przynosi to zaszczyt memu nauczycielowi. Czy pamiętasz piérwszą lekcję na wierzchołku Mythu?

— Co się też stało z temi panami, których poznaliśmy naówczas?

— Czyż nie słyszałeś, że Brithwood odziedziczył majątek po ojcu. Ożenił się przed miesiącem, z bogatą i piękną cudzoziemką.

— A pan Marek.

— Nic o nim nie wiem. No przeczytajmy dziennik.

Janek czytał dobrze, słuchałem go z przyjemnością. Pamiętam, że była mowa o nowo założonym parku w Londynie.

— Piękne to musi być miasto, rzekłem.

— Spodziewam się, że je poznam niedługo, odparł Janek. Twój ojciec chce mnie tam posłać za interesami. Czybyś mi nie mógł towarzyszyć?

Skinąłem głową. Nie miałem jednak chęci opuszczać domu, gdzie mi było tak dobrze.

— Jednak doktór Jessop nalega, abyś wyjechał na wieś. Od tygodnia szukam domu wiejskiego w okolicy: ze wszystkich jakie widziałem, jeden szczególnie mnie zajął.

— I jakże on wygląda?

— Jest to prześliczny domek, zbudowany u podnóża Enderly, Hill. Zowią go *Róże Cottage*, bo cały osłonięty różami.

— I gdzież to jest?

Czyś nigdy nie słyszał o dolinie Enderly, położonéj między górami? przecudny to zakątek. Jakież tam świéże i ożywiające powietrze!

Słuchając Janka, zapragnąłem odetchnąć czystym powiewem gór, zwłaszcza, że w dniu tym nadzywyczaj skwarno było i duszno.

— Czybyś nie miał ochoty przenieść się do Enderly, choćby na miesiąc, dopóki nie przejdą upały? Wieś leży na pochyłości góry, tuż nad samą doliną.

— Więc to jest wieś? zapytałem ciekawie.

— Tak, złożona z kilkunastu chatek, przyczepionych do skały. Jaka tam cisza, jaki spokój! Nie ma tam ani gwarów ulicznych, ani garbarni!...

— Lubisz jak widzę, życie pasterskie, które mój protoplasta tak wymownie opiewał.

To mówiąc wziąłem ze stołu mały tomik, obejmujący *Wyspę purpurową* Fineasa Tletchera, zapomnianego dziś poety, podałem ją Jankowi, który odczytał na głos rzewny ustęp.

Szczęśliwy, stokroć szczęśliwy, pastuszek w ubogiéj swojéj chacie; wrota jego zamknięte dla dostatków, ale słodki sen nawiedza je codziennie; Szczęśliwy pastuszek! troska nieprzerywa swobodnéj jego pieśni!

Nie zna on, owych zamorskich robaków które snują jedwab dla wielkich świata; nie zna też owéj pychy kryjącéj się pod jedwabną tkaniną. Wełna z jagniąt wystarcza mu na odzież.

Podczas letniego skwaru, szuka schronienia pod zielonym bukiem na dolinie. Życie jego nie miotane szaloną burzą świata, nie marnieje wszakże w bezczynności. Żyje szczęśliwy w zgodzie z sobą, z ludźmi i z Bogiem.

Dni jego upływają bez trosk i udręczeń obok wiernéj małżonki, w gronie ukochanych dziatek; a kiedy umrze, spoczywa błogo w ciszy cmentarnéj, pod zieloną murawą!

Janek zatrzymał się. Czytał on zawsze pięknie, nigdy jednak z takiém jak wtedy przejęciem, nigdy głos jego nie brzmiał tak harmonijnie!

— Janku o czém myślisz? zapytałem po chwili milczenia.

— Zadrżał, lica jego spłonęły.

— Myślę rzekł o doli tego biednego pastuszka. Życie jego jest dla mnie ideałem szczęścia na ziemi, nie wyłączając nawet grobu pod zieloną murawą!

— Wyobraźnia przenosi cię zbyt żywo do grobu; nim pastuszek położył w nim głowę, użył przecie kilka lat ziemskiéj pomyślności.

— Myślałem także i o tém.

— Masz więc nadzieję, być kiedyś obok wiernéj małżonki, otoczony rodziną.

— Mam nadzieję, jeśli taka wola Boża.

Po raz piérwszy dotknęliśmy tego przedmiotu. Lubo Janek miał lat dwadzieścia, a ja dwadzieścia dwa, mogliśmy mówić o miłości, z okiem podniesioném w niebo, jak niewinni pasterze w złotym wieku.

— Masz więc zamiar pojąć małżonkę?

— Nieinaczéj, skoro będę mógł to uczynić.

— Powiédz mi, czyś nie spotkał nigdy kobiéty, którąbyś chciał obrać za towarzyszkę życia? zapytałem, patrząc mu w oczy badawczo.

— Nigdy!

Nastąpiła długa chwila milczenia. Potém zaczęliśmy znów mówić o dolinie Enderly.

Wyjazd na wieś zależał jedynie od méj woli. Wszystko już było ułożone, między ojcem a Jankiem. Ten ostatni miał mi towarzyszyć, gdy ojciec nie chciał za nic w świecie rozstać się ze swym domem, ogrodem i garbarnią. Mieliśmy zamięszkać w domku pani Tod. Janek trzy razy w tydzień miał dojeżdżać konno do Norton-Bury, i doglądać rachunków. Był on w rzeczy saméj prawą ręką ojca mego.

Wyjechaliśmy z domu w prześliczny dzień sierpniowy. Nasz powóz toczył się zwolna drogą górzystą, prowadzącą do Enderly. Wioska ta leżała o ośm mil od naszego miasteczka. Siedząc w wygodnym powozie, oddychałem pełną piersią, czystém powietrzem wiejskiém, bawiąc oko cudnemi krajobrazami. Janek nad wyraz był szczęśliwy.

Rysy Janka nie były wprawdziwie piękne, brakło im zapewne posągowego wykończenia, ale wyraz twarzy otwarty i szczery, przyciągał każdego serce. Nadzwyczajna prostota cechowała jego postać. Ubiór staranny, lubo niewymyślny, odpowiadał całéj postawie.

Przybyliśmy pod górę. Janek wyskoczył z powozu poszedł naprzód pieszo. Stanąwszy na wierzchołku, zatrzymał się chwilę. Patrzałem nań podziwiając dorodny wzrost jego, nadzwyczajną zręczność w każdym ruchu, i długie pierścienie jasnych włosów, które wiatr rozwiéwał na strony.

Któryżby ojciec, myślałem w duszy, nie pochlubił się takim synem? którażby siostra, nie szczyciła się mając takiego brata? którażby panna nie chciała go zaślubić? Z tych trzech węzłów ostatni tylko możliwym był dla Janka; pytałem więc siebie, długo też ja sam jeden będę się chlubił z jego zalet?

Dojechaliśmy wkrótce do małéj oberży, w dolinie. Oberżę te zwano pod Niedźwiedziem, od dwóch bowiem wieków, widziano przed nią na szyldzie burego niedźwiedzia z ogromném kijem w łapie.

— Czy to już Enderly? zapytałem.

— Jeszcze nie, ale już dojeżdżamy, odrzekł Janek i wskazując ręką na okolicę, mówił daléj: widzisz ten maleńki kościołek z dzwonniczką? Niewiem czemu, ale to miejsce nadzwyczajny ma dla mnie urok. Zdaje mi się, jakbym je znał oddawna, jakby mnie tu kiedyś czekało wielkie szczęście.

Zwróciliśmy na bok, i w mgnieniu oka stanęliśmy przed dworkiem, otoczonym różami. Jak żyję nie widziałem tyle róż nagromadzonych w jedném miejscu. Jedne pięły się aż na dach, inne zaglądały do okien. Dworek miał dwa ganeczki z wystawą; jeden obsadzony kapryfolją, drugi jasminem hiszpańskim, wszystkie jednak kwiaty nikły w obec róż, których woń przecudna napełniała powietrze.

— Jak się ma pani Tod? zapytał Janek spostrzegłszy blizko czterdziestoletnią kobiétę, która czekała w progu z trojgiem małych dzieci.

— Nie źle, i pan też zdrów dzięki Bogu. Widzisz pan, że dzieci wcale go nie zapomniały.

— Tym lepiéj, odrzekł, pieszcząc po kolei troje jasnowłosych malców, które tuliły się do niego. Najmłodsze z nich wziął na ręce.

— Sprawiaj się cicho mój chłopcze, rzekła gospodyni do postyljona, bo dodała zwracając mowę do Janka, biedny nasz chory dziś znów daleko gorzéj.

— Trzeba nam było wysiąść na drodze, a nie zajeżdżać pod same drzwi. Gdzież jego pokój?

Pani Tod wskazała okno po lewéj stronie domu. Drobna rączka opuszczała w téj chwili ruletę.

— Pewnie to jego żona, rzekł Janek, gdyśmy zasiedli przy herbacie pod wystawą. Przykra to rzecz dusić się w pokoju na taki piękny wieczór letni. Jakoż w rzeczy saméj, zamknięte szczelnie okno, dziwną tworzyło sprzeczność, z pięknym zachodem słońca, i powietrzem przesyconém wonią.

Po herbacie, położyłem się na kanapie. Janek

siedząc pod oknem, spoglądał na rozległy krajobraz.

— Jak ci się podoba to miejsce, zagadnął.

— Prześliczne, tak mi tu wygodnie, jak w domu.

— A mnie się zdaje, jakbym tu był u siebie; rzekł Janek.

Nie wierzę własnym oczom, że tu jestem dopiéro po raz drugi. Wszystko mi tu znane, ta pochyłość zasiana krzakami jałowcu, i ten lasek w oddali, tak cudnie rysujący się na różowém tle nieba, i ta góra na prawo, z któréj pyszny rostacza się widok. O! spędzimy tu niejedną chwilę błogą.

Nie wątpię o tém, rzekłem.

Wieczorem oddaliłem się do mego pokoju. Niedługo usłyszałem otwierające się drzwi od sieni, i odgłos kroków niknący w oddaleniu. Janek wyszedł na przechadzkę wieczorną.

X.

— To prawdziwie niepospolita kobiéta! rzekł Janek, opierając ręce na stole, z którego pani Tod zdjęła właśnie reszty śniadania.

— A to dla czego zapytałem.

— Ma dom pełen dzieci, a jednak spokojnie u niéj i cicho. Sama zawsze w dobrym humorze. A co najważniejsza, w brew naturze niewieściéj umie być milczącą.

— Wczémże takiém?

— Jesteśmy tu od dwóch dni, a przecież nie pisnęła ani słówka o naszych sąsiadach.

— Chciałbyś, co o nich wiedziéć?

Janek przyznał się wesoło do ciekawości.

— Ależ mój Janku, co cię obchodzić mogą ci starzy ludzie?

— Któż ci powiedział, że starzy. A gdyby téż ta pani była młoda!

— Kto? żona tego pana?

— Żona! dla czegóż ma być żona? Zwijmy ją lepiéj panią w szaréj sukience. Wyobraź sobie, widziałem ją znowu zdaleka.

— Gdzie? kiedy?

— Dziś rano, bardzo rano. Przechadzałem się po dolinie opodal za nią, bo wiem, żeby towarzystwo moje nie było jéj przyjemne. Szła prędko, niosąc w ręku koszyczek ze świeżemi jajami.

— Dobra z niéj jak widać gospodyni; troskliwa żona.

— Mówię ci, że mam wątpliwość w tym względzie. Szła prędko i lekko, nie tak jak wypada na żonę, co ma chorego męża.

Rozśmiałem, się z wyobrażeń Janka o powinnościach małżeńskich.

— A potém, dodał Janek, pani Tod zowie zwykle chorego starym panem, o niéj zaś nigdy się tak nie wyraża.

— Zdarza się przecież, że starzy miewają młode żony.

— Lecz tu nie zachodzi ten wypadek. Jakkolwiek ta pani, ani bardzo szczupła ani mała, nie wygląda na sylfidę na nymfę leśną, w swym wełnianym płaszczyku z kapturkiem i szaréj sukience, jednak pewien jestem, że ani stara, ani zamężna.

— Zkądże to wiesz? czyś ją widział kiedy?

— Wcale nie, albo ż myślisz, żebym się uganiał za kobiétą jak student za motylem, dla tego żeby jéj spojrzéć w oczy? Zaczekałem w dolinie do póki nie weszła do domu.

— Tu do *Rose-Cottage*.

— Nieinaczéj.

— Poszła zapewne po jaja na śniadanie dla chorego. Poczciwa dusza!

— Żartuj sobie mój kochany, co do mnie, wiem że to dusza poczciwa! Widziałem, jak się dwa razy zatrzymała, raz aby pogadać ze starą kobiétą, która zbierała gałązki jałowcowe, drugi raz, aby napomniéć chłopca, który bił niemiłosiernie osła swego.

— Czyś ją słyszał?

— Nie! ale kiedym przechodził potém koło chłopca, widziałem po nim, że otrzymał naganę.

— Otóż nowy dowód, że niemłoda; możesz być tego pewny, młode i ładne kobiéty, nie łają nigdy nikogo.

— Czemu nie? ja przecież nie myślę, żeby była aniołem. Ale dajmy jéj pokój, dodał wesoło. Muszę okulbaczyć moją klaczkę, i jechać czém prędzéj do Norton-Bury. Śliczny dzień na przejażdżkę konną.

To mówiąc, wstał, i przytoczył mój fotel do otwartego okna.

W téj chwili głośny płacz dziecka dał się słyszéć na podwórzu.

— To mały Jaś, mój imiennik; pewien byłem, że kiedykolwiek zleci z osła, i tak się téż stało! No podnieśże się chłopcze.

Widząc jednak, że dziecko nie powstaje z ziemi, wybiegł przez okno jednym skokiem, i podjął na ręce płaczącego chłopczynę, któremu krew spłynęła z czoła, rozciętego o kamień.

— Nie lękaj się pani Tod, rana niewielka, nic mu nie będzie!

— To zawsze taka biéda z tym chłopcem, zawołała matka przybiegając żywo. Trzy miesiące temu, właśnie tego dnia kiedy przyjechał tu pan Marek, przystąpił z tyłu do konia, który jednem

uderzeniem kopyta złamał mu rękę. Nic go to jednak nie nauczyło rozumu.

— Miéj pani cierpliwość, rzekł Janek wniósłszy chłopca do kuchni, podczas gdy matka obmywała mu czoło wodą. Nie gniéwaj się pani, on się poprawi.

Dziękuję panu, rzekł Jaś na pół z płaczem. Pan taki dobry dla mnie, lepszy sto razy niż pan Marek, pamiętam, jak mówił, dobrze ci tak chłopcze, pocoś tak blisko przystępował do moich koni.

— Trzymałbyś lepiéj język za zębami, zawołała matka, w téj chwili bowiem skrzypnęły drzwi i nieznajoma pani ukazała się w progu.

— Pani Tod, rzekła, mój ojciec prosi...

Ale zatrzymała się nagle, spostrzegłszy obce osoby. Na miły dzwięk jéj głosu, Janek i ja odwróciliśmy głowę mimowoli; i staliśmy oba zmięszani sami nie widząc, czy zostać czy odejść. Ona sama wybawiła nas z kłopotu.

— Pani Tod, rzekła, ojciec prosi o rosół na jedenastą, pani o tém pomyślisz nie prawda?

— Dobrze panno Marek.

Na te słowa panna Marek, zamknęła drzwi i znikła.

Miała na sobie suknię popielatą. Spojrzałem na Janka, nie widział tego, gdyż oczy wlepione miał we drzwi, w których postać ukazała się chwilowo... Ta chwila wyryła ją w mojéj pamięci.

Była to młoda panienka dosyć wysoka, kształtna, lubo jéj kibić daleką była od ulotnych kształtów Sylfidy. Cerę miała śniadą, oczy i włosy ciemne. Twarz jéj powleczoną była tym ciepłym kolorytem, który nadaje fizjonomji niewieściéj wyraz tkliwy i słodki, połączony z niejaką energiją. Była to kobiéta w całém znaczeniu, nie zaś obraz jakiegoś wymarzonego anioła. Trudno ją było nazwać piękną lub ładną, ale rostaczała się w koło niéj, jakby atmosfera świeżości, młodości i zdrowia, którąbym przyrównał, do wiosennego powiewu.

Ubiór jéj składał się, jak mówiłem, z sukienki popielatéj, bardzo prostego kroju, przybranéj u szyi i u rąk białą frezką, która jéj dziwnie przypadała do twarzy.

— To panna Marek, rzekła nasza gospodyni, gdy młoda osoka znikła z progu.

— Doprawdy, odrzekł Janek, odrywając wreszcie oczy od owych drzwi zamkniętych.

— Jakaż ona rozsądna, jak na siedmnastoletnią panienkę, rozsądniejsza od ojca, który się wciąż skarży. Biedny człowiek, prawda że cierpi, ale i cóż ona temu winna? Nieboraczka ciężki ona krzyż znosi mój panie?

— O tak... przywtórzył Janek i pozostał w kuchni dopóki matka nie opatrzyła rany, i póki się chłopczyk nie rozweselił.

— Chodźmy, rzekłem nakoniec, próżno zabiéramy tu miejsce.

— Prawda, powiedz mi pani Tod, czy obecność nasza nie sprawiła przykrości téj panience.

— Nie znasz jéj pan, jak widzę, to prawdziwy gołąbek bez żółci. Ona tu zagląda dość często, kiedy pan Marek zaśnie, przychodzi nie raz na gawędkę, i bawi się z tym malcem.

— To mówiąc wskazała na kołyskę.

— Poznaliśmy wreszcie naszą popielatą sukienkę, mój Janku. Młoda to prawda, ale co piękną to nazwać jéj nie można.

— Wszakże ja nigdy nie mówiłem, że piękna?

— Miła jednak bardzo. Wyobrażam ją sobie, jak szła z koszykiem i łajała biédnego chłopca.

— Nie śmij się z niéj Fineas. Smutneż to jéj życie przy ojcu!

Widząc, że bierze rzeczy z poważnéj strony, przestałem żartować.

— Ale mówiąc o ojcu rzekłem, czyby to nie był przypadkiem ten sam pan Marek, któregośmy pięć lat temu wyciągnęli tonącego z Sawerny? Dziwny zbieg rzeczy zaprawdę.

— Wątpię bardzo odrzekł Janek zamyślony.

W chwilę potém, pożegnał mnie po przyjacielsku.

— Zabaw się, rzekł, jak możesz, wrócę zapewne późno w noc.

Patrzałem za nim długo, dopóki mi nie zniknął z oczu, w alei wysadzonéj kasztanami. Jakże pięknie wyglądał na koniu!

Spojrzałem potém w okno pana Marek. Spostrzegłem drobną rączkę podnoszącą ruletę. Czyżby panna Marek także ścigała Janka okiem?

Spędziłem cały dzień pod wystawą; dobra pani Tod zaglądała co chwila, chcąc mnie rozweselić Obchodziła się ze mną jak matka z dzieckiem, uważałem jednak, że Janek w wyższym stopniu posiadał jéj łaski.

Słońce spuściło się za cztery wielkie topole które ocieniały naszą ustroń. Drzewa te główną stanowiły ozdobę miejsca tego. Zrana piérwszy promień słońca uzłacał ich wyniosłe wierzchołki, wieczorem zaś ostatni odblysk zachodu, uwydatniał ich kształty olbrzymie. Liście ich kołysane wiatrem szeptały mi nieraz istne dziwy, kiedy cisza panowała w powietrzu, wznosiły poważnie w obłoki majestatyczne czoło. Kochałem owe topole, zdało mi się nieraz że żyją. Tego wieczoru, oczekując na Janka, zapoznałem się z niémi, i odtąd pozostałem im wierny.

(d. c. n.)



TYGODNIK MÓD

Nro ~~[illegible]~~ 49.